

Helena A. Jędrzejczak: Dietrich Bonhoeffer – szukając pojednania

Bonhoeffer zdaje sobie sprawę, że świat stał się bezbożny i nie wie, czy kiedykolwiek zwróci się na powrót do Boga. Ma jednak nadzieję



Bonhoeffer zdaje sobie sprawę, że świat stał się bezbożny i nie wie, czy kiedykolwiek zwróci się na powrót do Boga. Ma jednak nadzieję

„Pojednanie” i „przebaczenie” to ostatnio modne, chętnie poddawane refleksji pojęcia. W sześćdziesiąt lat po Wojnie na kolejnych seminariach, debatach i dyskusjach snutych wokół pojawiających się na rynku książek rozmawiamy o prawie do wybaczenia i proszenia o nie, o konsekwencjach moralnych i politycznych, o tym, co w istocie znaczy „wybaczyć” i jak wybaczać – nie zapomnieć, co i dlaczego wybaczymy.

W zamieszczonym w kwietniowym numerze „Więzi” artykule „Pojednana różnorodność” książka Tomáš Halik zwraca uwagę na znaczenie, jakie ten gest czy też wydarzenie ma dla obydwu stron relacji – „Pojednanie wskazuje na minione rany podziału, ale czyni z nich doświadczenie uzdrawiające, a nie traumatyczne. Elementem pojednania jest również to, że tego drugiego nie pozostawiam w samotności z jego bólem (...), ale że jego ból staje się częścią mojej pamięci, częścią mojej świadomości i mojego sumienia”[1]. To perspektywa przeszłości – bo wybaczymy lub prosimy o wybaczenie tego, co minione, ale też perspektywa przyszłości, dla której przebaczenie, pojednanie są kluczowe, które pozwalają ufundować ją na nowo, na zupełnie innych niż do tej pory zasadach i podstawach.

Myślenie o wydarzeniach przeszłych w kontekście ich wybaczenia jest naturalne, nawet jeśli wybaczenie jest trudne, nawet jeśli wydaje się być niemożliwym, nawet jeśli nikt nie czuje się uprawniony do tego, by w imieniu kogoś innego wybaczyć winy, ból, cierpienie, śmierć. Myślenie w tym kontekście o wydarzeniach przyszłych lub bieżących raczej nie jest domeną tych, którzy podejmują decyzje wybaczenia wymagające. Jednak nawet w czasach, w których myśl o szukaniu tegoż wybaczenia jest ostatnią pojawiającą się u decydentów, zdarzają się tacy, którzy – gdy czynom wybaczenia wymagającym nie mogą zapobiec – o szukaniu go w przyszłości myślą i starają się je przygotować. W rzeczywistości państwa totalitarne nawet takie myślenie i przygotowania wymagają odwagi. Ale jeśli człowiek czuje się odpowiedzialnym za swój kraj, naród i kościół, na brak odwagi po prostu nie ma miejsca.

Dietrich Bonhoeffer – jeżeli w ogóle – zazwyczaj jest znany jako ten, który wiedział, mówił i dawał przykład, jak chrześcijanin powinien żyć i postępować w systemie totalitarnym. Także – jako ten, który chciał i starał się ten system zwalczać, uważając to za swój – jako chrześcijanina i duchownego, ale też po prostu człowieka – obowiązek. Rzadziej jednak wspominany jest jako myśliciel, teolog, duchowny, który działał jakby w myśl szaroszeregowej zasady „dzisiaj – jutro – pojutrze” – a więc przygotowując i prowadząc walkę z systemem, myślał o tym, co trzeba będzie robić po jego upadku, raczej w sferze duchowej niż politycznej, choć i ta ostatnia nie była mu obojętna. Zwłaszcza, że upadek dotyczył w takim samym stopniu państwa, narodu i kościoła, do którego należał.

Dietrich Bonhoeffer boleśnie zdawał sobie sprawę z tego, w jakim kierunku podąża niemiecki Kościół Lutherański. Jego Kościół. O tym, że jego Kościół, Kościół, w którym się urodził, wzrastał i któremu postanowił służyć, będzie musiał szukać wybaczenia u innych chrześcijan, pojednania z Bogiem i ludźmi, wiedział co najmniej od 1933 roku – roku wyborów do Bundestagu, które przyniosły zwycięstwo Hitlerowi i wyborów do Synodu Kościoła, w których Niemieccy Chrześcijanie (*Deutsche Christen*) uzyskali miażdżącą większość. A większość ta pozwoliła na podjęcie decyzji dla Bonhoeffera haniebnych i wyłączających decydentów ze wspólnoty Kościoła powszechnego.

Anna Morawska źródeł moralnego upadku niemieckich kościołów, określonej przez nią mianem „getttoizacji moralności”[2] upatruje – w przypadku kościołów ewangelickich – w reformacyjnym oddzieleniu sfer duchowej i świeckiej. Pierwsza z nich miałaby się ograniczać wyłącznie do osobistej relacji z Bogiem i tylko w tym zakresie istotna

miałaby być moralność – problem ten definiuje następująco: „Reformacja chciała postawić Boga tak wysoko, a ludzką sprawę z Nim sprowadzić do tak intymnej strefy, aby żadna już przewrotność ludzka, żadne niegodne względy nie mogły plamić religii ani posługiwać się nią do własnych interesów”[3]. Druga sfera, na wskroś praktyczna i poddana porządkowi publicznemu, byłaby z kolei z owych nakazów „wyzwolona”, niezależna od etyki czy moralności . Anna Morawska wskazuje, że Kościół Katolicki, choć obrał zupełnie inną drogę – a więc „zamknięcie” Boga w obrębie kościoła instytucjonalnego – doszedł do tego samego punktu, czyli niemal całkowitego podporządkowania kwestii moralnych władzy politycznej.

Dla Bonhoeffera obydwie postawy były równie obce i równie niechrześcijańskie, a więc wyłączające ze wspólnoty Kościoła – stąd często i chętnie cytowane *extra Ecclesiam nulla salus*. Słowa te Bonhoeffer rozumie jednak nie jako wyłączenie ze zbawienia tych, którzy znajdują się poza takim czy innym kościołem instytucjonalnym, ale jako samodzielne wyjście ze wspólnoty zbawionych tych, którzy świadomie porzucili drogę naśladowania Chrystusa, pomimo, a może nawet szczególnie wtedy, kiedy reprezentują oficjalną wspólnotę religijną. Stąd równie chętnie przywoływane (i często powierzchownie interpretowane) „bezreligijne chrześcijaństwo”, niejednokrotnie sprowadzane do etyki oderwanej od transcendencji, a przede wszystkim – niewymagającej konieczności wiary w Zbawienie.

Myśl Bonhoeffera biegnie jednak w zupełnie innym kierunku – łączy osobistą, niezależną od instytucji kościelnych relację z Bogiem z koniecznością zaangażowania w „tu i teraz”, we współczesną mu rzeczywistość z wszystkimi jej wyzwaniem. Wydarzeniem sankcjonującym tę konieczność jest Wcielenie: „(...) od tego działania

Boga, od Tego Rzeczywistego, od Jezusa Chrystusa, rzeczywistość przyjmuje teraz swoje „tak” i swoje „nie”, swoje prawo i swoje granice. Potwierdzenie i sprzeciw łączą się teraz w konkretnym działaniu tego, który rozpoznał owego Rzeczywistego. Ani potwierdzenie, ani sprzeciw nie wypływają tedy z jakiegoś obcego rzeczywistości świata, z jakiegoś programu oportunisty czy ideologa, lecz wypływają z rzeczywistości pojednania świata z Bogiem, tak jak wydarzyło się ono w Chrystusie. Ponieważ w Jezusie Chrystusie, Tym, który jest Rzeczywisty, przyjęta jest i skupiona cała rzeczywistość, ponieważ [w Nim] ma ona swoje źródło, istotę i cel, przeto działanie stosowne do rzeczywistości możliwe jest tylko w Nim i z Niego”[4].

Z powyższych zdań można by wyprowadzić wniosek, że tym „stosownym działaniem” w bezbożnym świecie powinno być wycofanie się, rodzaj wewnętrznej emigracji. Bonhoeffer przyjmuje odmienne stanowisko. W rzeczywistości, która zaktualizowała się w Trzeciej Rzeszy jego – jako chrześcijanina, teologa, duchownego – rolą jest nie tylko pełnienie posługi duszpasterskiej, zawierzenie się Bogu i modlitwa o lepsze jutro, ale także, a może przede wszystkim służba światu i bliźnim poprzez otwarte występowanie w obronie prześladowanych. Stwierdza, że wierzący chrześcijanin, ten, który swym życiem stara się naśladować Chrystusa, nie może pozostać bierny, musi podjąć działanie zmierzające ku zmianie rzeczywistości. Píše: „Wydaje mi się wciąż, że w ten sposób chcemy tylko wydzielić Bogu miejsce. Ja chciałbym mówić o Bogu nie na granicy lecz w samym środku (...)”[5]. On sam nie wydziela Bogu miejsca. Idzie za Nim, podporządkowując mu całe swoje życie. Z dążenia do zmiany rzeczywistości na taką, w której nie będzie się Go spychać gdzieś na margines egzystencji czyni oś podejmowanych

działań. Niezależnie od kosztów, jakie sam może ponieść, włączając w to nie tylko zagrożenie życia, ale też możliwość bycia zapomnianym, uznanym za zdrajcę i tego, który obrał mylną drogę.

On ma jednak swój cel. W totalitarnej rzeczywistości cel staje się boleśnie polityczny – obalenie systemu, w którym deptana jest ludzka godność, a naśladowanie Chrystusa dla wielu staje się niemożliwe, wymaga zamordowania Hitlera. Przekonanie o konieczności zamordowania człowieka, nawet jeśli jest zbrodniarzem, dla chrześcijanina nie może być oczywiste. Dla Bonhoeffera także nie jest. Ale mimo tego na pytanie jednego ze współwięźniów o to, jak możliwym jest, że on, ksiądz i teolog, może uzasadniać swój udział w spisku na życie Hitlera, odpowiedział: „Jeśli widzę szaleńca jadącego chodnikiem, to jako ksiądz i teolog nie mogę tylko chować zmarłych i pocieszać rodziny, ale muszę wyrwać kierownicę z rąk szaleńca”[6]. Niepodjęcie takiej próby oznaczałoby, że własne bezpieczeństwo, przywiązanie do wartości posłuszeństwa władzy państwowej i stabilności instytucji kościelnych stało się ważniejsze od stanięcia w obronie bliźniego. A przecież właśnie w tym ostatnim realizuje się postulat naśladowania Chrystusa.

Działalność Bonhoeffera w nazistowskich Niemczech nie ograniczała się do działalności opozycyjno-spiskowej i prowadzenia pracy duszpasterskiej. Utworzenie Kościoła Wyznającego (*Bekennende Kirche*) nie było tylko aktem wypowiedzenia posłuszeństwa kościołowi krajowemu, zdominowanemu przez Niemieckich Chrześcijan (*Deutsche Christen*). Poza okazaniem sprzeciwu wobec haniebných decyzji synodu (wprowadzenie tzw. paragrafu aryjskiego, całkowita uległość wobec władz Rzeszy, brak reakcji na cierpienia zadawane kolejnym

grupom ludzi), *Bekennende Kirche* miał umożliwić pojednanie i odbudowę chrześcijaństwa w powojennych Niemczech, także poprzez uzyskanie wybaczenia od innych wspólnot chrześcijańskich.

Można by zapewne uznać, że Bonhoeffer, wyłączony z kościoła instytucjonalnego, dążył po prostu do nawiązania własnych kontaktów ekumenicznych. Że jego starania – czynione w czasie Wojny i przed jej wybuchem – miały tylko pokazać chrześcijanom w Europie i Ameryce, że „nie wszyscy Niemcy są źli” i że nawet wśród nich można znaleźć „jednego sprawiedliwego” i na tej podstawie pozwolić im na powrót do rodziny kościołów chrześcijańskich. Brzmi to oczywiście logicznie i pokazywałoby, że Bonhoeffer był nie tylko cenionym teologiem, zasłużonym opozycjonistą antyhitlerowskim, ale przede wszystkim trzeźwo myślącym politykiem, tworzącym podstawy międzynarodowego funkcjonowania założonej przez siebie wspólnoty, mającej w przyszłości reprezentować wszystkich „nawróconych” Niemców.

Realpolitik nie była jednak dziedziną, w której realizował się Bonhoeffer i nie sukces jakiegokolwiek instytucji – z Kościołem Wyznającym włącznie – był celem jego pracy. Wszystkie jego działania – także te, z których jako chrześcijanin i teolog tłumaczył się przed sobą samym, Bogiem i innymi ludźmi, były podporządkowane wierze w Chrystusa i konieczności naśladowania Go. Celem nie był sukces (w postaci obalenia Hitlera na przykład), ale umożliwienie pojednania z Bogiem i ludźmi tym, którym przyszło żyć w tak trudnym „tu i teraz”. Dlatego też – w więziennej korespondencji z Eberhardem Bethge, przyjacielem, uczniem i późniejszym biografem – stwierdza: "Ostatecznie, odpowiedzialne pytanie nie jest o to, jak ja mam

heroicznie wybrnąć z sytuacji, ale jak przyszłe pokolenie ma dalej żyć. Tylko z tego historycznie odpowiedzialnego pytania wyłonić się mogą rozwiązania płodne, chociaż chwilami i nader upokarzające"[7].

To nie bezsilność w poszukiwaniu pojednania z Bogiem jest upokarzająca. Nie jest taką także brak sukcesu w podjętych działaniach. Raczej – podporządkowanie mu swoich przekonań, zgubienie po drodze etyki i moralności, a przede wszystkim – ucieczka od odpowiedzialności za decyzje, ukształtowaną przez nie rzeczywistość i bieg historii. Ta odpowiedzialność, konieczność podjęcia decyzji i poniesienie ich konsekwencji są zadaniem danym człowiekowi przez Boga.

Bonhoeffer pragnie pojednania Boga ze światem i ludzi między sobą. Zdaje sobie sprawę, że świat stał się bezbożny i nie wie, czy kiedykolwiek zwróci się na powrót do Boga.

Ma jednak nadzieję. Wierzy, że – jak zawsze – celem ostatecznym rozwiązaniem jest Chrystus. Pisze „*Jezus Chrystus, ukrzyżowany pojednawca* – słowa te oznaczają najpierw, że cały świat, odrzucając Jezusa Chrystusa, stał się bezbożny i że żaden własny wysiłek przekleństwa tego zdjąć nie może. Świeckość świata została raz na zawsze naznaczona Krzyżem Chrystusa. Ale ponieważ Krzyż Chrystusa jest krzyżem pojednania świata z Bogiem, dlatego właśnie ten bezbożny świat naznaczony jest również pojednaniem jako wolnym działaniem Boga”. Bonhoeffer wierzy w pojednanie – Boga z człowiekiem i ludzi pomiędzy sobą. Wierzy też, że podjął próbę wypełnienia zadania danego mu przez Boga, że starał się podążać w ślad za Chrystusem. Dlatego na kilka miesięcy przed śmiercią zapisuje

„Jestem wdzięczny, że dane mi było to zrozumieć i wiem, że mogłem to zrozumieć tylko na tej drodze, którą poszedłem. Dlatego myślę z podzięką i pokojem o przeszłości i teraźniejszości”.

Helena Anna Jędrzejczak

[1] Tomáš Halik, *Pojednana różnorodność*, WIEŹ 4[630]/2011, s. 67

[2] Por. Anna Morawska, *Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy*, Biblioteka WIEŹI, Warszawa 1970

[3] Anna Morawska, *op.cit.*, cyt. za: Tadeusz Mazowiecki, *Nauczył się wierzyć wśród tęgich razów*, wyborcza.pl

[4] Dietrich Bonhoeffer, *Chrystologiczne pojęcie odpowiedzialności jako substytucji [w:] O odpowiedzialności*, ZNAK, Kraków 2001. Esej jest fragmentem tekstu *Geschichte und das Gute*, zredagowanego latem 1942, który miał być włączony do nieukończony przez Bonhoeffera *Etyki*.

[5] Dietrich Bonhoeffer, *Krzyż i Zmartwychwstanie*, wyd. Alleluja, Kraków 1999 (zapisek z 30. kwietnia 1944)

[6] Josef Ackermann, *Dietrich Bonhoeffer. Wolność ma otwarte oczy*, wyd. W drodze, Poznań 2007

[7] Eberhard Bethge, *Dietrich Bonhoeffer. Świadek Ewangelii w trudnych czasach*, wyd. Augustana, Bielsko-Biała 2003